



Portret Geoga Groddecka, fotografia, ok. 1918. Ze zbiorów Georg Groddeck-Gesellschaft

[fragmenty antropologiczne]

Georg Groddeck: Ono¹

Droga Przyjaciółko,

nie jest Pani zadowolona. W moim liście za wiele jest wątków osobistych, a Pani wolałaby, żebym był obiektywny. Ja sądziłem, że jestem.

Zobaczymy: pisałem o wyborze zawodu, niechęciach i wewnętrznym rozdarciu, istniejącym od dzieciństwa. Co prawda, mówiłem o sobie, ale takie przeżycia są typowe. Jeśli przeniesie je Pani na innych ludzi, sporo się Pani dowie. Jasne stanie się dla Pani przede wszystkim jedno, a mianowicie to, że naszym życiem rządzą również siły, których na pierwszy rzut oka nie widać, których trzeba moliźnie poszukiwać. Chciałem na jakimś przykładzie, na moim przykładzie, pokazać, że wiele z tego, co się w nas dzieje, znajduje się już poza granicami naszego myślenia. Ale może lepiej od razu Pani powiem, jaki zamiar towarzyszy moim listom. Wtedy będzie mogła Pani zdecydować, czy przedmiot jest dość poważny. Jeśli zacznę się kiedyś osuwać w plotkę albo we frazes, niech mi to Pani powie – wyświadczy Pani przysługę nam obojgu.

Jestem zdania, że życie człowieka jest przeżywane przez coś Nieznanego². Jest w nim jakieś Ono, jakiś pierwiastek Cudownego, który reguluje wszystko,

1 Przekład za wydaniem: G. Groddeck, *Das Buch vom Es. Psychoanalytische Briefe an eine Freundin*, Frankfurt am Main – Berlin 1994, s. 18–27 (list 2) i 259–268 (list 30).

2 W oryginale: „Ich bin der Ansicht, daß der Mensch vom Unbekannten gelebt wird“, a więc dosłownie: „człowiek jest żyty przez nieznaną”. Oczywiście w języku polskim nie ma imiesłowu biernego od „żyć”, utworzenie strony biernej od tego czasownika jest zatem niemożliwe. Inaczej niż w niemieckim, który posługuje się nią znacznie częściej i w szerszym zakresie. Konstrukcje tego rodzaju bywają co prawda tworzone także w polszczyźnie: „Człowiek Białoszewskiego nie «żyje», lecz w pewnym sensie «jest żyty»” (E. Sławek, T. Sławek, *Filozoficzna podróż windą: uwagi o elementach stylu Białoszewskiego na przykładzie tomu „Odczepić się”, „Język Artystyczny”* 1986, nr 4, s. 93). Wydaje się jednak, że użycie takiej konstrukcji, dopuszczalne w tekście naukowym, gdzie można ją opatrzyć różnymi zastrzeżeniami i dystansującymi cudzysłowami, w tekście literackim – a takim jest przecież w istocie książka Groddecka – byłoby ryzykowne. Dlatego przekład ma w tym miejscu charakter nieco opisowy (przyp. tłumacza).

co czyni i co się z nim dzieje. Zdanie: „przeżywam swoje życie” jest prawidłowe jedynie warunkowo, wyraża niewielki, częściowy fenomen zasadniczej prawdy: ludzkie życie jest przeżywane przez Ono³. To Ono będzie tematem moich listów. Czy wyraża Pani na to zgodę?

A teraz jeszcze jedno. To Ono znane jest nam w takiej tylko mierze, w jakiej znajduje się w granicach naszej świadomości. Większa jego część to obszar, na który nie mamy wstępu. Możemy jednak rozszerzyć granice naszej świadomości przez badania oraz przez pracę i wniknąć głęboko w nieświadomość, jeśli postanowimy, że chcemy nie tyle wiedzieć, ile raczej pójść za głosem wyobraźni. Naprzód zatem, mój uroczy doktorze Fauście, płaszcz⁴ gotowy jest do lotu w nieświadomość...

- 3 Inaczej niż w dotychczasowych przekładach pism psychoanalityków, na przykład Freuda, tłumaczę *das Es* jako „Ono”, nie jako „id”. W oryginale jest to substancywizowany zaimek osobowy *es*, czyli właśnie „ono”. Rzeczownik *das Es* nie jest przy tym odmieniany, choć deklinacji podlega zaimek. Także w moim tłumaczeniu „Ono” pozostaje nieodmienne.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że wyobrażenie jakiegoś *Es* jako podmiotu wszelkiego myślenia (albo i działania) pojawiło się w piśmiennictwie niemieckim znacznie wcześniej. Getyński fizyk Georg Christoph Lichtenberg (1742–1799) zapisał w swoich *Brulionach*: „Świadomi jesteśmy pewnych przedstawień, które są od nas niezależne; inni sądzą, że przynajmniej my sami zależymy od siebie; gdzie przebiega granica? Znamy jedynie istnienie naszych doznań, przedstawień i myśli. Należałoby mówić: «myśli», tak jak mówi się: «grzmi». Powiedzieć *cogito* oznacza powiedzieć już za wiele, jeśli tylko tłumaczy się to słowo przez «ja myślę». Założenie, postulat Ja jest potrzebą praktyczną” (G.Ch. Lichtenberg, *Pochwała wątpienia. Bruliony i inne pisma*, wybór, przekład, wstęp i przypisy T. Zatorski, Gdańsk 2005, K 76, s. 239).

W oryginale „myśli” to właśnie *es denkt*. Bezosobowa forma z *es* często opisuje w języku niemieckim zjawiska atmosferyczne, na przykład *es blitzt* (‘błyska się’) i ma tylko nieliczne odpowiedniki w języku polskim – często zresztą wychodzące już z użycia (dżdży, śnieży, pada). Lichtenberg przenosi ją na zupełnie inne wyobrażenie: bezosobowości myślenia, obecnego w świecie jakby niezależnie od podmiotu, jakim jest człowiek.

Bardzo podobny wątek pojawia się, zupełnie niezależnie od Lichtenberga, u współczesnego mu pisarza Wilhelma Heinsego (1746–1803): „Tylko nieliczni dochodzą aż tak daleko, by pojąć, że to nie oni sami są tym, co w nich myśli, że tym czymś jest pewna Istota, która przenika wszystko, nie miesza, nie może zmieszać się z niczym, lecz przechodzi przez masę wszystkich innych rzeczy, pozna je i porządkuje, wszystko co istnieje. I że ich jestestwo, głowa, pierś, ramiona i nogi wraz z oczyma i uszami to jedynie odrobina według różnego porządku spojonej materii z nieprzebranych zasobów natury”.

Trudno byłoby oczywiście dowiedzieć, że Georg Groddeck w jakiś sposób inspirował się Lichtenbergiem (mało prawdopodobne też, by mógł znać „aforyzm” zapomnianego podówczas Heinsego). Faktem jest jednak, że myśl getyńskiego fizyka była na przełomie XIX i XX wieku przedmiotem bardzo poważnych dyskusji w kręgach filozoficznych. Wprawdzie jeszcze w wydanym w 1910 roku *Słowniku filozofii* Fritz Mauthner pisał, że Lichtenberg „wynosi się [swym sformułowaniem] ponad zasady języka”, jednak już ćwierć wieku wcześniej Ernst Mach wykorzystał to właśnie stwierdzenie jako ważny argument w swej polemice z kartezjańskim *cogito*. Sporym zainteresowaniem myśl Lichtenberga cieszyła się także wśród filozofów Koła Wiedeńskiego, zyskując w ich rozważaniach stałe wręcz miejsce jako „argument Lichtenbergowski”. Moritz Schlick postulował nawet podniesienie jej do rangi „najwyższej zasady psychologii”. Niemalży wpływ wywarła także na Wittgensteina, Hendrika von Wrighta i Hansa Lenka. Bardzo pilnym czytelnikiem Lichtenberga był także sam Zygmunt Freud (przyp. tłumacza).

- 4 W dramacie Goethego Mefistofeles zabiera Fausta w napowietrzną podróż na swoim płaszczu (przyp. tłumacza).

Czy to nie dziwne, że nic nie pamiętamy z trzech pierwszych lat naszego życia? Tu i tam udaje się komuś przywołać słabe wspomnienie jakiejś twarzy, jakichś drzwi, jakiejś tapety albo czegoś innego, co – jak mu się wydaje – widział w swoim najwcześniejszym dzieciństwie. Ale nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto przypominałby sobie swój pierwszy krok sposób, w jaki nauczył się mówić, jeść, widzieć, słyszeć. A przecież to wszystko przeżycia. Mogę sobie wyobrazić, że dziecko, gdy po raz pierwszy raczkuje przez pokój, doznaje wrażeń mocniejszych niż dorosły podczas podróży przez Italię. Mógłbym też sobie wyobrazić, że dziecko po raz pierwszy zdające sobie sprawę, iż ten człowiek tam, uśmiechający się do niego tak tkliwie, to matka, poruszone jest głębiej niż mężczyzna prowadzący ukochaną do swego domu. Dlaczego to wszystko zapominamy?

O tym można by długo, ale zanim przejdziemy do odpowiedzi, musimy się najpierw uporać z jedną kwestią. Pytanie jest błędnie postawione. Nie zapominamy tych trzech pierwszych lat, wspomnienie o nich wycieka tylko z naszej świadomości, w nieświadomości zaś żyje dalej i pozostaje tak żywe, że wszystko, co czynimy, czerpie z tego nieświadomego zasobu wspomnień. Chodzimy tak, jak się wtedy chodzić nauczyliśmy, jemy, mówimy, odczuwamy tak, jak czyniliśmy to wówczas. Istnieją zatem rzeczy, które świadomość zarzuca, chociaż są konieczne do życia, które – ponieważ są konieczne – są przechowywane w regionach naszej istoty, które nazwano nieświadomością. Dlaczego jednak świadomość zapomina przeżycia, bez których człowiek nie może istnieć?

Czy wolno mi to pytanie pozostawić otwartym? Będę je musiał stawiać jeszcze często. Teraz jednak bardziej zależy mi na tym, by dowiedzieć się od Pani jako kobiety, dlaczego matki tak niewiele wiedzą o własnych dzieciach, dlaczego również one zapominają to, co istotne w tych trzech latach. Być może matki tylko się tak zachowują, jak gdyby wszystko zapomniały. A może to, co istotne, nie powraca także do ich świadomości.

Będzie się Pani złościć, że znów pokpiwam sobie z matek. Ale cóż mi innego pozostaje? Żyje we mnie tęsknota. Gdy jestem smutny, moje serce woła za matką i jej nie znajduje. Mam mieć pretensje do Boga i świata? Już lepiej śmiać się z samego siebie, z tego dzieciństwa, z którego nigdy się nie wychodzi. Tak to już jest bowiem z dorosłością: dorosłym jest się rzadko, tylko na powierzchni, gra się go jedynie, tak jak dziecko bawi się w dorosłych. W głębi naszego życia jesteśmy dziećmi. Ono nie ma wieku i to Ono jest naszym właściwym życiem. Proszę się przyjrzeć kiedyś człowiekowi w chwilach najgłębszego cierpienia czy najwyższej radości: jego twarz staje się twarzą dziecka, dziecięce stają się jego ruchy, głos odzyskuje dawną miękkość, serce bije jak w dzieciństwie, oczy błyszczą albo zaciągają się mgiełką. Zapewne: próbujemy to ukryć, ale przecież wszystko jest wyraźnie widoczne, tyle że tego nie zauważamy, bo nie chcemy w nas samych tych drobnych a tak wymownych znaków i dlatego przeoczamy je również w drugich. Nie płacze się już, gdy jest się dorosłym? Tylko dlatego, że to niezgodne z obyczajem, dlatego, że jakiś głupiec orzekł, że to niemodne. Mnie zawsze sprawiało radość, że

Ares, gdy został zraniony, zawył jak dziesięć tysięcy mężów. To zaś, że Achilles roni łzy nad Patroklosem, poniża go jedynie w oczach ludzi cierpiących na żądze wielkości. Wciąż udajemy, to wszystko. Nie ośmielamy się już nawet szczerze śmiać. Ale nie przeszkadza nam to wcale, gdy czegoś nie potrafimy, przybierać miny uczniaka, tego samego przerażonego wyrazu twarzy, jaki przybieraliśmy, gdy byliśmy małymi chłopcami, nie przeszkadza zachowywać drobnych przyzwyczajęń, gdy chodzimy, kładziemy się, mówimy, przyzwyczajęń, które każdemu, kto na nas spogląda, mówią: „Patrz, to dziecko”. Jeśli przyjrzy się Pani komuś, kto sądzi, że jest sam, natychmiast zobaczy Pani, jak wychodzi zeń dziecko, czasem w zabawnej postaci: ziewa się, drapie bez zażenowania po głowie i pośladkach albo nawet dłubie w nosie, ba – trzeba to powiedzieć wprost – puszcza bąki. Najwytworniejsza dama puszcza bąki. Albo proszę poobserwować ludzi zatopionych bez reszty w jakiejś czynności, w jakichś swoich myślach, proszę przyrzec się zakochanym, chorym albo starcom; wszyscy są to tu, to tam dziećmi.

Gdy zastanowić się głębiej, życie wydaje się balem maskowym, na który się przebieramy, być może nawet dziesięć, dwanaście, sto razy, ale przecież bierzemy w nim udział takimi, jakimi jesteśmy, w przebraniu pośród masek pozostajemy tym, czym jesteśmy, i opuszczamy go dokładnie takimi, jakimi na niego szliśmy. Życie rozpoczyna się dzieciństwem i tysiącnymi drogami zmierza przez wiek męski ku jednemu celowi, temu mianowicie, by znów stać się dzieckiem, a jedyna różnica między ludźmi polega na tym, że jedni nabywają cech dziecięcych, inni robią się dziecienni.

Ten sam fenomen: to, że jest w nas coś, co wedle własnego uznania objawia się na wszystkich możliwych etapach życia, może Pani dostrzec i u dzieci. Starcze rysy w twarzyczce niemowlęcia są sprawą znaną i często omawianą. Proszę przejść się jednak ulicą i przyrzec małym, trzy-, czteroletnim dziewczynkom – w ich przypadku jest to wyraźniejsze niż u chłopców, czego przyczyny dałoby się jakoś wyjaśnić. Wyglądają one niekiedy tak, jak gdyby były własnymi matkami. I to wszystkie, nie zaś tu czy tam jedna, którą życie dopadło już wcześniej, nie – każda i każdy ma niekiedy ów osobliwie starczy wyraz twarzy. Oto jedna ma swarliwe usta kobiety pełnej goryczy, druga wargi zdradzające skłonność do plotkarstwa, tu zobaczy Pani typ starej panny, tam zaś kokietki. Jakże często przy tym zobaczymy matkę już w najmniejszym dziecku. To nie tylko naśladownictwo, to Ono sprawuje tu rządy. Czasem zyskuje władzę nad wiekiem, dysponuje nim, tak jak my wkładamy dziś takie, jutro inne ubranie.

Być może to zazdrość każe mi pokpiwać sobie z matek, zazdrość, że ja sam nie mogę stać się kobietą i matką.

Proszę się nie śmiać, tak rzeczywiście jest i nie tylko ja mam takie wrażenie, lecz wszyscy mężczyźni, nawet ci, którzy sami sobie wydają się bardzo męscy. Dowodzi tego już język: najbardziej męski mężczyzna nie zawaha się powiedzieć, że przechadza się „brzemienne myślnymi”, mówi o swoim „duchowym dziecku”, a przedsięwzięcie z trudem doprowadzone do końca nazwie „ciężkim porodem”.

Nie są to tylko puste słowa. Uznaje Pani wszak autorytet nauki. To, że człowiek powstaje z mężczyzny i kobiety, jest przecież faktem dowiedzionym naukowo, nawet jeśli w myśli i w mowie się go nie uwzględnia, jak często dzieje się z prostymi prawdami. A zatem w istocie nazywającej się mężczyzną tkwi także kobieta, w kobiecie mężczyzna, a w wyobrażeniu mężczyzny spodziewającego się dziecka dziwne jest tylko to, że się mu uparcie zaprzecza. Ale zaprzeczanie w niczym nie zmienia stanu rzeczy.

To przemieszanie mężczyzny i kobiety ma niekiedy fatalne następstwa. Są ludzie, u których Ono pozostaje pełne wątpliwości, którzy wszystko widzą z dwóch perspektyw, są niewolnikami podwójnych wrażeń dzieciństwa. Jako takich wątpliwych wskazałem Pani dzieci wykarmione przez mamki. I rzeczywiście, wszyscy czworo, o których Pani opowiadałem, posiadają Ono, które czasem nie wie, czy jest mężczyzną czy kobietą. O mnie wie Pani już od dawna, że gdy jestem pod wrażeniem czegoś, brzuch mi się powiększa i nagle zapada się w sobie, gdy Pani o tym piszę. Wie Pani także, że nazywam to moją ciążą. Ale nie wie Pani czegoś innego (a może już Pani o tym opowiadałem? – to obojętne, opowiem tu raz jeszcze). Przed prawie dwudziestu laty na szyi wyrosło mi wole. Nie wiedziałem jeszcze wtedy tego, co wiem teraz, albo o czym sądzę, że to wiem. Dość powiedzieć, że przez lat dziesięć chodziłem po tym świecie z nabrzmiałą szyją i pogodziłem się już z myślą, że to coś w sąsiedztwie mojej krtani zabiorę ze sobą do grobu. Wtedy nadszedł czas, że poznałem Ono i zrozumiałem – w jaki sposób, nie jest kwestią, nad którą warto by się tu rozwodzić – że to wole jest moim urojonym dzieckiem. Sama się Pani dziwiła, w jaki sposób zdołałem się pozbyć owej monsturalnej przypadłości bez operacji, bez leczenia, bez jodu i tyreoidenu. Jestem zdania, że wole zniknęło, ponieważ moje Ono zrozumiało, i to zrozumienie przekazało również mojej świadomości, że w rzeczy samej jak każdy człowiek jestem istotą dwojakiej płci i dwojakiego rodzaju jest moje płciowe życie oraz że niepotrzebne jest już namacalne wykazywanie tego przez jakieś narośle. Co więcej, owej kobiecie, która niezmuszona do tego okolicznościami doświadcza w domu połogowym rozkoszy cudzych rozwiązań, okresowo piersi całkowicie się kurczą, a wówczas budzi się w niej męskość, co sprawia, że czuje ona prężną skłonność kładzenia mężczyzny podczas gry miłosnej pod sobą i dosiadania go od góry. Ono trzeciej spośród owych samotnych sprawiło, że między jej udami pojawiła się narośl przypominająca członek, ona zaś – osobliwa to myśl – smarowała ją jodem, by ją, jak sądziła, usunąć, w rzeczywistości wszelako by główce owego tworu nadać pozór żółędzi. Ostatniemu ze wspomnianych przeze mnie dzieci wykarmionych przez mamki przydarza się coś podobnego co mnie: brzuch wzdyma mu się w urojonej ciąży. Nawiedzają go wówczas kolki żółciowe, będące – jeśli pozwoli Pani, że tak to określe – czymś przypominającym rozwiązanie, przede wszystkim jednak miewa kłopoty ze ślepą kiszka jak wszyscy, którzy chcieliby zostać wykastrowani i stać się kobietami, albowiem kobieta powstaje – tak sądzi dziecięce Ono – z mężczyzny przez obcięcie

narządów płciowych. Przeszedł, o ile mi wiadomo, trzy ataki wyrostka robaczkowego. Podczas każdego z nich ujawniało się u niego pragnienie, by być kobietą. A może to ja wmówiłem mu owo pragnienie? Trudno orzec.

Muszę Pani opowiedzieć jeszcze o piątym takim dziecku, utalentowanym mężczyźnie, który jednak jako istota posiadająca dwie matki jest we wszystkim jakby przepołowiony i próbuje nad tą połowicznością zapanować, posiłkując się pantoponem. Jego matka twierdzi, że pod wpływem zabobonnego lęku nie karmiła go piersią: zmarło jej dwóch synów, dlatego obawiała się karmić w ten sposób trzeciego. Nie wie on teraz, czy jest mężczyzną czy kobietą, nie wie tego jego Ono. We wczesnym dzieciństwie ożyła w nim kobieta. Leżał wówczas długo chory na zapalenie osierdzia, które było urojoną ciążą tegoż narządu. Później powtórzyło się to jako zapalenie opłucnej oraz nieodparte skłonności homoseksualne.

Może Pani spokojnie śmiać się z moich awanturniczych baśniowych opowieści. Przyzwyczailem się do tego, że jestem wyśmiewany i cieszę się, gdy od czasu do czasu mam sposobność wypróbować ponownie moją na to odporność.

Czy wolno mi opowiedzieć Pani jeszcze jedną historię? Znam ją z ust pewnego człowieka, dawno już pogrzebanego, pożartego przez wojnę. Z radością rzucił się w ramiona śmierci, albowiem był typem bohatera. Mówił mi kiedyś, jak pewnego dnia pies jego siostry, pudel – znajomy ów mógł mieć wtedy siedemnaście lat – onanizował się, ocierając o jego nogę. On sam przyglądał się temu z zainteresowaniem, gdy jednak nasienie popłynęło po łydce, naszała go myśl, że urodzi młode pieski, a wyobrażenie to towarzyszyło mu przez tydzień i miesiące.

Jeśli miałyby Pani ochotę, moglibyśmy teraz udać się na chwilę do kraju baśni, porozmawiać o królowych, którym zamiast prawdziwych synów wkładano do kołyski nowo narodzone szczenięta, i snuć wokół tego rozmaite rozważania na temat osobliwej roli, jaką pies odgrywa w utajonym życiu człowieka, rozważania, które rzuciłyby snop światła na faryzejski wstręt człowieka do perwersyjnych odczuć i uczynków. Ale być może byłoby to czymś nazbyt intymnym. Pozostańmy raczej przy ciąży mężczyzny. To częste zjawisko.

Tym, co rzuca się w oczy u ciężarnej kobiety, jest gruby brzuch. Co Pani powie na moje wcześniejsze stwierdzenie, że również u mężczyzny gruby brzuch należy interpretować jako symptom ciąży? Oczywiście mężczyzna nie nosi naprawdę dziecka w swym ciele. Ale jego Ono sprawia sobie taki gruby brzuch przez jedzenie, picie, wzdęcia czy w jakiś inny sposób, ponieważ pragnie zająć w ciąży i w konsekwencji sądzi, że w nią zachodzi. Istnieją ciężę symboliczne i symboliczne porody, powstają one w nieświadomości i trwają dłużej lub krócej, zanikają jednak nieuchronnie, gdy zostaje odkryte symboliczne znaczenie tych nieświadomych procesów. To nie takie proste, ale tu i tam się udaje, właśnie przy wzdęciach albo w wypadku jakichś symbolicznych bólów porodowych w podbrzuszu, krzyżu czy głowie. Tak, Ono jest czymś tak osobliwym, że nie przejmuje się wcale wiedzą anatomiczno-fizjologiczną, lecz z tupetem powtarza

dawną legendę o narodzinach Ateny z głowy Zeusa. A ja mam dość fantazji, by uwierzyć, że ten mit – podobnie jak inne – to następstwo rządów sprawowanych przez Ono. Wyrażenie „brzemienny myślami” musi tkwić głęboko w człowieku i mieć dlań dużą wagę, skoro przekształcił je w baśń. Oczywiście takie symboliczne cięższe i bóle porodowe zdarzają się także u kobiet zdolnych do rodzenia dzieci, być może są u nich nawet jeszcze częstsze, pojawiają się jednak nie rzadziej u starszych kobiet, a wydaje się nawet, że podczas klimakterium i w późniejszym czasie odgrywają sporą rolę w schorzeniach różnego rodzaju, ba, również dzieci oddają się takim fantazjom, nawet te, o których ich matki sądzą, że wierzą jeszcze w bociana.

Czy mam jeszcze trochę podroczyć się z Panią, stawiając tak awanturnicze tezy? Czy mam Pani zdradzić, że również zjawiska towarzyszące ciąży: nudności, bóle zębów – niekiedy – mają korzenie symboliczne? Że wszelkiego rodzaju krwawienia – przede wszystkim oczywiście te pojawiające się nieoczekiwanie – z macicy, ale także z nosa, odbytu czy płuc, pozostają w ścisłym związku z wyobrażeniami porodu? Albo że udreka, jaką sprawiają owsiki, towarzysząca niektórym ludziom przez całe życie, ma często swą przyczynę w skojarzeniu robaka z dzieckiem i zanika, gdy tylko owym robaczkom odbierze się pożywkę nieświadomego symbolicznego życzenia.

Znam pewną kobietę – również ona jest jedną z tych kochających dzieci osób bezdzietnych, a bezdzietna jest, albowiem nienawidzi swojej matki – która na pięć miesięcy utraciła okres, jej brzuch obrzmiał, podobnie jak piersi, uznała się przeto za ciężarną. Pewnego dnia długo z nią rozmawiałem o związku robaków z wyobrażeniami ciąży u pewnego wspólnego znajomego. Tego samego dnia wydała z siebie glistę, w nocy powrócił jej okres, a brzuch znów się spłaszczył.

W ten sposób dochodzę już do okazjonalnych przyczyn takich ciąż, rozgrywających się wyłącznie w myśli. Należą one – można chyba powiedzieć: wszystkie – do obszaru skojarzeń. Przykład takiego skojarzenia podałem, mówiąc o robaku i dziecku. Najczęściej te skojarzenia są bardzo odległe, wielopostaciowe i – ponieważ pochodzą z dzieciństwa – tylko z trudem torują sobie drogę do świadomości. Istnieją jednak także skojarzenia proste, uderzające, jasne natychmiast dla każdego. Jeden z moich znajomych opowiadał mi, że w nocy przed rozwiązaniem swojej żony próbował to doświadczenie, jego zdaniem bardzo bolesne, w osobliwy sposób wziąć na siebie. Śniło mu się mianowicie, że sam urodził dziecko, jego sen pełen był szczegółów znanych mu z poprzednich porodów, a obudził się w momencie, gdy poród się zakończył. Wówczas okazało się, że choć nie wydał na świat dziecka, to przecież – jak nie czynił tego od swoich wczesnych lat chłopięcych – wy dobył z siebie coś, co miało w sobie ciepło życia.

Cóż, to był sen, ale jeśli posłucha Pani opowieści swych przyjaciół i przyjaciółek, odkryje Pani ku swemu zaskoczeniu, jak powszechną jest rzeczą, że mężowie albo babki czy dzieci na własnym ciele doświadczają równocześnie rozwiązania swych krewnych.

Tak bliskie relacje nie są jednak konieczne. Często wystarczy sam widok małego dziecka, kołyski, butelki mleka. Wystarczy także jeść pewne potrawy. Poznała pani zapewne wielu ludzi, którzy dostają wzdęć po kapuście czy grochu, po fasoli, marchewce albo ogórkach. Czasem pojawiają się wtedy u nich bóle porodowe pod postacią bólów brzucha, a czasem dochodzi nawet do samego porodu przybierającego formę wymiotów czy biegunki. Skojarzenia, jakie Ono, w pojęciu naszego tak wysoko cenionego rozumu dość głupawe, konstruuje w nieświadomości, bywają wręcz śmieszne. I tak na przykład w główce kapusty znajduje podobieństwo do główki dziecka, groszek i fasola spoczywają w swych łuskach jak dziecko w kołysce albo brzuchu matki, zupa grochowa i grochowe purée przypominają o pie-luszkach, a tu jeszcze marchewka i ogórki. Co Pani o nich sądzi? Nie wpadnie Pani na to, w czym rzecz, jeśli Pani nie pomogę.

Gdy dzieci bawią się z psem, obserwują go i śledzą z żywym zainteresowaniem wszystkie jego zachowania, odkrywają czasem, że tam, gdzie umieszczony jest narząd służący załatwianiu jego małych potrzeb, sterczy ostry czerwony wyrostek, wyglądający jak marchewka. Pokazują ten osobliwy fenomen matce czy komuś znajdującemu się właśnie w pobliżu i dowiadują się ze słów albo zakłopotanego spojrzenia dorosłych, że o czymś takim w ogóle się nie mówi, że czegoś takiego w ogóle się nie zauważa. Nieświadomość zachowuje wówczas to wrażenie, mniej lub bardziej wyraźne, a ponieważ raz już utożsamiała marchewkę z owym czerwonym psim wyrostkiem, trzyma się uparcie myśli, że także marchewka to jakaś rzecz zakazana, i na propozycję jej zjedzenia odpowiada niechęcią, wstrętem lub symboliczną ciążą. Albowiem również w tym dziecięca nieświadomość jest osobliwie głupia w porównaniu z naszym tak wynoszonym pod niebiosa rozumem i sądzi, że zarodki dziecka dostają się, wraz z jedzeniem, przez usta do brzucha i tam potem rosną. Podobnie dzieci wierzą też, że z połkniętej pestki czereśni wyrośnie w brzuchu czereśniowe drzewko. To, że czerwony wyrostek psa ma coś wspólnego z płodzeniem potomstwa, wiedzą w swej zamglonej dziecięcej niewinności równie dobrze albo równie niejasno jak to, że zarodek braciszka albo siostrzyczki, zanim dostanie się do wnętrza mamy, musi znajdować się gdzieś w tym osobliwym chwościku mężczyzny czy chłopca, wyglądającym jak nie tam gdzie trzeba przymocowany ogonek, przy którym wisi woreczek z dwoma jajeczkami czy orzeszkami, o którym mówi się jedynie z wielką powściągliwością, którego można dotykać tylko przy sikaniu i którym bawić się wolno tylko mamie. Widzi Pani, że droga prowadząca od marchewki do urojonej ciąży jest dość długa i niełatwo na nią trafić. Gdy się ją jednak zna, wie się też, co oznacza niestrawność po ogórkach, albowiem ogórek zdradza nie tylko fatalnie zabawne podobieństwo do członka taty, lecz kryje nadto w swym wnętrzu ziarenka symbolizujące obrazowo przyszłe dzieci.

Odbiegłem bezwstydnie od mojego tematu, ale ośmielam się mieć nadzieję, że Pani, Droga Przyjaciółko, z osobistej dla mnie życzliwości listy tak zagmatwane jak dzisiejszy czyta dwa razy. Jeśli tak, zrozumie Pani, co chciałem powiedzieć

w całym powyższym wywodzie: to mianowicie, że Ono, owa rzecz, przez którą przeżywane jest nasze życie, nie uznaje bez sprzeciwu nawet różnic między płciami, podobnie jak różnic wieku, i sędzę, że w ten sposób dałem Pani choć ogólne pojęcie o bezrozumie owej istoty. Być może pojmie Pani również, dlaczego czasem miewam taką babską zachciankę, by urodzić dziecko. Jeśli jednak nie zdołałem wyrazić się jasno, następnym razem spróbuję rzecz przedstawić w sposób lepiej zrozumiały.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia
Patrik Troll

■

To zatem był powód Pani długiego milczenia! Rozważała Pani raz jeszcze możliwość publikacji i daje swoje *imprimatur* na moją część naszej korespondencji, odmawiając go wszelako dla własnych listów. Niech i tak będzie! A Bóg niech da swoje błogosławieństwo!

Ma Pani rację, czas już, bym uczynił Ono przedmiotem poważnej refleksji. Ale słowo jest mało plastyczne i dlatego proszę Panią, by od czasu do czasu zechciała Pani okrążyć to lub owo z zapisanych tu słów i przyjrzeć się mu uważnie ze wszystkich stron. Zyska Pani wtedy pewien pogląd, a o to tu chodzi, nie o to, czy pogląd ten jest prawdziwy czy fałszywy. Postaram się zachować rzeczowość.

Muszę tu najpierw uczynić smutne wyznanie: Ono takie, jakim je założyłem, moim zdaniem w ogóle nie istnieje, to ja sam sztucznie je stworzyłem. Ponieważ zajmuję się wyłącznie człowiekiem, pojedynczym człowiekiem, i będę to czynił do końca moich dni, muszę postępować tak, jak gdyby istniały oderwane od całości Boga-Natury pojedyncze istoty, które nazywamy ludźmi. Muszę postępować tak, jak gdyby taka pojedyncza istota była jakoś oddzielona pustą przestrzenią od reszty świata, w taki sposób, że staje samodzielnie naprzeciwko rzeczy znajdujących się poza jej wymyślonymi przez samą siebie granicami. Wiem, że to pogląd błędny, mimo to będę się uparcie trzymał założenia, że każdy człowiek to osobne Ono, posiadające określone granice, początek i koniec. Podkreślam to, ponieważ już wielokrotnie próbowała Pani, Czcigodna Przyjaciółko, przywieść mnie do rozważań na temat duszy świata, panteizmu, Boga-Natury. Nie mam na to ochoty i oświadczam uroczyście, że zajmuję się tu tylko tym, co określam jako Ono człowieka. I mocą mojego urzędu jako Pani korespondent stwierdzam, że to Ono ma swój początek w momencie zapłodnienia. Który etap nad wyraz skomplikowanego procesu tegoż zapłodnienia należałoby uznać za ów początek, jest mi obojętne, podobnie jak Pani uznaniu pozostawiam wybór jakiegoś momentu z całego łańcucha procesów zachodzących podczas śmierci i stwierdzenie, że to chwila, w której Ono dobiega swego kresu.

Ponieważ już z góry informuję Panią o świadomym zafałszowaniu, obecnym w mojej hipotezie, przysługuje Pani prawo doszukania się w moich wywodach

tylu świadomych i nieświadomych błędów, ile tylko zechce ich Pani znaleźć. Proszę jednak nie zapominać, że ten pierwszy błąd, polegający na wycięciu rzeczy, indywiduów – nieożywionych albo ożywionych – z kosmosu, właściwy jest całemu ludzkiemu myśleniu i obciąża wszystkie nasze wypowiedzi.

Tu wyłania się pewna trudność. Ta hipotetyczna jednostka, jaką jest Ono, a której początek umiejscowiony jest w zapłodnieniu, w rzeczywistości zawiera w sobie dwie jednostki, żeńską i męską. Abstrahuję przy tym całkowicie od mocno rzecz komplikującej okoliczności, że obie te jednostki, wywodzące się od jaja i nasienia, nie są w istocie jednostkami, lecz wielościami sięgającymi czasów Adama i prazwierząt, wielościami, w których żeńskie i męskie pozostaje ze sobą w niedającym się rozwikłać splątaniu, ale – jak się wydaje – niez mieszane. To, że obie zasady nie zlewają się ze sobą, lecz istnieją obok siebie, proszę dobrze zapamiętać. Stąd bowiem wynika, że każde ludzkie Ono zawiera w sobie co najmniej dwie swoje odmiany, które są jakoś połączone w jedność, ale przecież w pewien sposób pozostają od siebie niezależne.

Nie wiem, czy mogę u Pani, podobnie jak i u innych kobiet – oraz oczywiście także u mężczyzn – założyć całkowity brak tej niewielkiej wiedzy, którą – jak sądzimy – posiadamy na temat dalszych losów zapłodnionego jaja. Dla moich celów wystarczy, jeśli poinformuję Panią, że to jajo po zapłodnieniu dzieli się na dwie części, na dwie komórki, jak nauka lubi rzecz nazywać. Te dwie komórki dzielą się potem znów na cztery, na osiem, na szesnaście i tak dalej, aż wreszcie powstaje to, co zwykle nazywamy „człowiekiem”. Nie muszę, dzięki Bogu, wdawać się w szczegóły tych procesów, lecz mogę poprzestać na wskazaniu czegoś, co dla mnie ważne, jakkolwiek i dla mnie niepojęte. W niewielkiej istocie, w zapłodnionym jaju, tkwi coś, Ono, co jest w stanie dokonać podziałów na niezliczone grupy komórek, nadać im każdorazowo różną postać i funkcję, skłonić je do przeistoczenia się w skórę, kości, oczy, uszy i tak dalej. Co takiego wszelako dzieje się z tymże Ono w momencie podziału? Najwyraźniej dzieli się ono również, albowiem wiemy, że każda pojedyncza komórka posiada możliwość samodzielnej egzystencji i dalszych podziałów. Równocześnie pozostaje jednak coś wspólnego, Ono, które wiąże obie komórki ze sobą, wpływa w jakiś sposób na ich los i pozwala im wywierać wpływ na siebie. Wychodząc od tych rozważań, musiałem przyjąć, że poza indywidualnym Ono człowieka istnieje niepoliczalna wielka liczba istot mu podobnych, należących do poszczególnych komórek. Proszę przy tym łaskawie pamiętać, że zarówno indywidualne Ono całego człowieka, jak i każde Ono każdej komórki kryją w sobie Ono męskie i żeńskie, a nadto subtelnie drobne istoty będące Ono należącymi do łańcucha przodków.

Proszę nie tracić cierpliwości. Nic na to nie poradzę, że muszę tak komplikować rzeczy, które dla codziennego myślenia i mowy są bardzo proste. Jakiś dobrotliwy Bóg wyprowadzi nas kiedyś – taką mam nadzieję – z oplatającej nas gęstwiny.

Na razie jednak wciągnę w nią Panią jeszcze głębiej. Wydaje mi się, że istnieją jeszcze inne odmiany Ono. Komórki w biegu swojego rozwoju łączą się w tkanki,

epitelia, chrząstki, nerwy i tak dalej, a każdy z tych tworów to – jak się zdaje – osobne Ono, które oddziałuje na Ono całości, na każdą jednostkę Ono w komórkach czy w innych tkankach i daje się przez nie określić w manifestacjach życia. Na tym nie koniec. Nowe formy Ono pojawiają się jako organy, jako śledziona, wątroba, serce, nerki, kości, mięśnie, mózg czy rdzeń kręgowy. A w systemach narządowych objawiają się nam jeszcze inne moce Ono, ba, tworzą się – jak się zdaje – niejako sztucznie kreowane jego jednostki, które prowadzą jakąś dziwną grę, choć można by domniemywać, że są jedynie pustym dźwiękiem i dymem. I tak muszę na przykład sformułować tezę, że istnieje Ono górnej i dolnej połowy ciała, Ono prawej i lewej strony tegoż, szyi albo ręki, Ono wnętrza człowieka i osobne Ono powierzchni ciała. To istoty, o których chciałoby się sądzić, że powstają za sprawą myśli, rozmów, działań, istoty, które można by wręcz uważać za twory tak powszechnie sławionego rozumu. Ale proszę w to nie wierzyć! Taki pogląd wynika jedynie z rozpaczliwych i beznadziejnych usiłowań zrozumienia czegokolwiek z tego świata. Gdy tylko tego chcemy, już jakieś złośliwe Ono ujawnia się w jednej ze swoich kryjówek, bawi się nami i zaśmiewa do rozpuku z naszych komicznych roszczeń, z naszej przemądrzałości.

Proszę, moja Droga, niech Pani nigdy nie zapomina, że nasz mózg, a tym samym nasz rozum, są wytworem Ono; z całą pewnością wytworem, który z kolei oddziałuje twórczo, jednak dopiero późno się uaktywnia i którego pole działania jest ograniczone. Na długo zanim powstanie mózg, Ono człowieka już myśli, myśli bez mózgu, mózg ów sobie dopiero buduje. To coś fundamentalnego, coś, o czym człowiek nigdy nie powinien zapominać, a o czym zapomina bezustannie. W tym domniemaniu, że myśli się mózgiem, domniemaniu z całą pewnością fałszywym, tkwi źródło tysięcznych głupstw, ale i źródło cennych odkryć i wynalazków, wszystkiego, co życie upiększa i szpeci.

Czy nie razi Pani zamęt, w jakim się poruszamy? A może mam Pani opowiedzieć, jak to wciąż, niczym na kolorowej karuzeli, pojawiają się nowe odmiany Ono, jak gdyby wciąż nowe powstawały. Że istnieją jego odmiany charakterystyczne dla poszczególnych funkcji ciała, dla jedzenia, picia, spania, oddychania, chodzenia? Że objawia się Ono zapalenia płuc albo Ono ciąży, że powstają takie osobliwe twory, znamienne dla określonego zawodu, wieku, miejsca pobytu, ubikacji i nocnika, łóżka, szkoły, konfirmacji i małżeństwa, sztuki i rozmaitych przyzwyczajzeń. Zamęt, nieskończony zamęt. Nic tu nie jest jasne, wszystko spowija ciemność, wszystko jest niedającym się rozwikłać splątaniem.

A jednak, a jednak! Potrafimy nad tym wszystkim zapanować, wchodzimy w sam środek tego kipiącego strumienia i umiemy go okiełznać, bierzemy się z tymi mocami za bary i przygważdżamy je to tu, to tam. Jesteśmy bowiem ludźmi i nasza zdolność narzucania rzeczom naszej woli podoła niejednemu wyzwaniu. Porządkuje, dzieli, tworzy i dopełnia. Naprzeciwno Ono staje Ja i cokolwiek by się zdarzyło i cokolwiek można by jeszcze powiedzieć, moc zachowuje wypowiedane przez ludzi twierdzenie: ja to Ja.

Nic na to nie poradzimy, musimy sobie wmawiać, że panujemy nad Ono, nad licznymi jego odmianami oraz nad Ono zbiorczym, a wręcz że panujemy nad charakterem bliźnich, nad ich życiem, ich zdrowiem i śmiercią. Tak z pewnością nie jest, ale wiara taka wynika z naszej konstytucji, z naszego człowieczeństwa. Żyjemy, a to sprawia, iż musimy też wierzyć, że możemy wychować nasze dzieci, że istnieją przyczyny i skutki, że wreszcie w następstwie wolnego namysłu jesteśmy w stanie pomóc albo zaszkodzić. W istocie samej nic nie wiemy o związkach między rzeczami, nie możemy nawet z dwudziestoczęterogodzinnym wyprzedzeniem zdecydować, co będziemy robić, nie jest w naszej mocy postępować w zgodzie z powziętymi zamiarami. To Ono zmusza nas, byśmy jego czyny, myśli, uczucia uważali za procesy rozgrywające się w naszej świadomości, zgodne z naszymi zamierzeniami, z naszym Ja. Tylko dlatego, że tkwimy w tym odwiecznym błędzie, że jesteśmy ślepi i niczego nie wiemy, możemy być lekarzami i leczyć chorych.

Nie mam pewności, po co Pani o tym wszystkim piszę. Prawdopodobnie po to, by się usprawiedliwić, że mimo niewzruszonej wiary we wszechmoc Ono jestem przecież lekarzem, że mimo przekonania o koniecznym charakterze wszystkich moich myśli i czynów, mającym swe źródło poza moją świadomością, wciąż przecież leczę chorych i udaję przed sobą oraz innymi, że sukces mojej terapii to moja zasługa, i że to ja jestem odpowiedzialny, gdy pozostaje ona nieskuteczna. Istotną cechą człowieka jest próżność i przecenianie samego siebie. Nie mogę się jej pozbyć, muszę wierzyć w siebie i w moje działania.

W istocie wszystko, co dzieje się w człowieku, jest dziełem Ono. I dobrze, że tak właśnie jest. Dobrze również przynajmniej raz w życiu przystanąć i – w takiej mierze, w jakiej to możliwe – zastanowić się nad tym, że bieg rzeczy jest niezależny całkowicie od naszej wiedzy i naszych mocy. Niezbędne to zwłaszcza dla nas, lekarzy. Nie dlatego, byśmy mieli uczyć się skromności. Cóż nam po takiej nieludzkiej, pozaludzkiej cnotcie? Jest zresztą i tak cnotą faryzejską. Nie, to niezbędne dlatego, że inaczej narażamy się na niebezpieczeństwo jednostronności, niebezpieczeństwo okłamywania nas samych i naszych chorych, że właśnie ta albo inna metoda leczenia jest metodą jedynie słuszną. Brzmi to absurdalnie, ale jest przecież prawdą, że każdy sposób leczenia chorego jest właściwy, że pacjent zawsze i we wszystkich okolicznościach leczony jest prawidłowo, bez względu na to, czy leczy się go zgodnie ze wskazaniami nauki czy wedle zaleceń owczarza parającego się znachorstwem. Sukces terapii nie zależy od tego, co choremu zalecimy zgodnie z naszą wiedzą, lecz od tego, co z naszymi zaleceniami uczyni jego Ono. Gdyby tak nie było, każde złamanie kości, prawidłowo złożone i unieruchomione, musiałyby się zrosnąć. Ale tak nie jest. Gdyby różnica między działaniami chirurga czy internisty, neurologa czy znachora, była rzeczywiście tak wielka, słusznie można by się chełpić udanymi kuracjami i wstydić porażek. Ale nie mamy do tego prawa. Tak czynimy, jednak prawa do tego nie mamy.

List ten piszę, jak mi się wydaje, w osobliwym nastroju. I jeśli będę go kontynuował w tym duchu, to najprawdopodobniej Panią zasmucę albo rozśmieszę.

Tymczasem ani jedno, ani drugie nie leży w moich zamiarach. Chcę Pani raczej opowiedzieć, jak zbliżyłem się do psychoanalizy. Wtedy łatwiej Pani zrozumie sens moich rozwlekłych wywodów, pojmie osobliwe rozważania na temat mojego zawodu i jego wykonywania.

Muszę Panią przede wszystkim zaznajomić ze stanem ducha, w jakim się wówczas znajdowałem, a który najkrócej daje się wyrazić stwierdzeniem: „Czułem, że jestem skończony”. Wydawałem się sobie stary, nie czułem po ciągu ani do kobiet, ani do mężczyzn, byłem znużony moimi miłostkami, a przede wszystkim obrzydła mi moja praktyka lekarska. Uprawiałem ją jeszcze tylko w celach zarobkowych. Byłem chory, w to nie wątpiłem, nie wiedziałem tylko, co się ze mną działo. Dopiero kilka lat później jeden z moich medycznych recenzentów wyjaśnił mi, na co cierpię. Popadłem w histerię – diagnoza, o której prawidłowości przekonany jestem tym mocniej, że postawiona została bez osobistej znajomości, jedynie na podstawie wrażenia, jakie wyrobił sobie o mnie czytelnik moich pism – symptomy musiały być zatem bardzo wyraźne. W tym czasie podjąłem się leczenia pewnej ciężko chorej damy, a to zmusiło mnie, bym został analitykiem.

Zwolni mnie Pani zapewne z obowiązku zagłębiania się w szczegóły długiej historii cierpień owej kobiety. Opowiadam o nich niechętnie, ponieważ niestety nie udało mi się całkowicie przywrócić jej zdrowia, choć w ciągu czternastu lat naszej znajomości oraz kuracji, której ją poddałem, jej stan poprawił się bardziej, niż tego sama oczekiwała. By dać Pani jednak pewność, że w jej wypadku rzeczywiście chodziło o konkretną „organiczną”, a więc rzeczywistą chorobę, nie tylko chorobę „urojoną” histerię, jak u mnie, wskażę tu na fakt, że w ostatnich latach przed naszym spotkaniem przeszła dwie ciężkie operacje, a została mi jako umierająca przekazana przez jej ostatniego naukowego doradcę wraz ze sporym zapasem digitalisu, skopolaminy i innych paskudztw.

Początkowo nasze kontakty nie były łatwe. Nie zaskoczyło mnie, że jej odpowiedzią na moje nieco brutalne badanie były obfite krwawienia z macicy i odbytu – obserwowałem to często i u innych chorych. Co mnie jednak uderzyło, to to, że mimo imponującej inteligencji dysponowała śmiesznie ubogim słownictwem. W odniesieniu do większości przedmiotów użytkowych posługiwała się opisami, tak że na przykład zamiast „szafa” mówiła: „mebel do przechowywania ubrań”; albo zamiast „przewód kominowy”: „urządzenie do odprowadzania dymu”. Ponadto nie była w stanie znieść pewnych gestów, na przykład pocierania wargi albo zabawy frędzlami przy krześle. Różne przedmioty, które wydają się nam konieczne w codziennym życiu, musiały zostać usunięte z gabinetu.

Gdy dziś przypominam sobie obraz jej choroby, jaki wówczas jawił się moim oczom, trudno mi uwierzyć, że był czas, kiedy nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. A przecież tak właśnie było. Dostrzegłem, że w wypadku mojej chorej chodzi o ściśle sprzężenie zjawisk tak zwanych fizycznych i psychicznych, ale w jaki sposób sprzężenie to powstało, jak miałbym chorej pomóc, tego nie wiedziałem. Tylko

jedno było dla mnie od początku jasne: między mną a pacjentką istniała jakaś tajemnicza relacja, która skłoniła ją do tego, by mi zaufała. Wówczas nie znałem jeszcze pojęcia przeniesienia, cieszyłem się z pozornej podatności na sugestię, wykazywanej przez osobę będącą przedmiotem moich zabiegów terapeutycznych, i podjąłem leczenie w zwykły sposób. Spory sukces osiągnąłem już przy pierwszej wizycie. Do tej pory chora wzbierała się zawsze przed rozmową sam na sam z lekarzem; domagała się obecności starszej siostry, przeto każda próba porozumienia wymagała pośrednictwa tejże. Zdumiewające, że przystała natychmiast na moją propozycję, bym następnym razem przyjął ją sam. Dopiero później uświadomiłem sobie, że przyczyną był rodzaj przeniesienia. Pani G. zobaczyła we mnie matkę.

Tu muszę wtrącić pewną uwagę na temat Ono lekarza. Miałem wówczas zwyczaj egzekwowania nielicznych zaleceń, które wydawałem, z niezłomną surowością i – muszę tu użyć tego wyrażenia – nieustępliwością. Posługiwałem się sformułowaniem: „Może pani raczej umrzeć, niż nie zastosować się do któregoś z tych zaleceń”. I traktowałem to bardzo poważnie. Chorych na żołądek, którzy po określonych potrawach dostawali bólów lub wymiotów, kazałem karmić wyłącznie tymi właśnie potrawami tak długo, aż nauczyli się je znosić, innych, którzy z powodu jakiegoś zapalenia stawów czy żył leżeli unieruchomieni w łóżku, zmuszałem do wstawania i chodzenia, apoplektyków leczyłem, każąc im codziennie wykonywać skłony, ludzi zaś, o których wiedziałem, że za kilka godzin umrą, ubierałem i wychodziłem z nimi na spacer. Doświadczyłem przy tym i tego, że jeden z nich padł martwy na progu domu. Posługiwania się tego rodzaju aurytatywną, nieomylną, paternalistyczną sugestią, występowania w roli pełnego mocy, dobrotliwego rodzica doświadczyłem już u własnego ojca, a nauczyłem się od największego mistrza owej sztuki „bycia lekarzem i ojcem”, Schweningera, zapewne też miałem ku temu od urodzenia pewne predyspozycje. W wypadku panny G. wszystko od początku przebiegało inaczej. Jej nastawienie do mnie, jej nastawienie dziecka, i to – jak się później okazało, dziecka trzyletniego – narzuciło mi rolę matki. Chora ta obudziła pewne uśpione macierzyńskie moce mego Ono, te zaś nadały kierunek moim działaniom. Potem, gdy poddałem bardziej wnikliwej rewizji moje postępowanie jako lekarza, odkryłem, że tego rodzaju zagadkowe wpływy kazały mi już często przybierać wobec moich chorych postawę inną niż ojcowska, chociaż byłem świadomy i teoretycznie mocno o tym przekonany, że lekarz winien być przyjacielem i ojcem pacjenta, musi dominować.

I oto nagle stanąłem wobec osobliwego faktu, że to nie ja leczę chorego, lecz chory mnie, albo – by rzecz przetłumaczyć na mój język – Ono innego człowieka próbuje przekształcić moje i rzeczywiście tak je przekształca, by stało się użyteczne dla jego celów.

Już zrozumienie tego było trudne, albowiem pojmuje Pani, że w ten sposób mój stosunek do chorego uległ całkowitemu odwróceniu. Nie chodziło już o to, by mu przepisywać pewne zachowania, zalecać mu to, co uważałem za stosowne,

lecz by stać się takim, jakim chory mnie potrzebował. Ale droga od zrozumienia do realizacji wynikających stąd wniosków jest daleka. Sama Pani wszak tę drogę obserwowała, sama widziała, jak z aktywnie ingerującego lekarza stałem się pasywnym narzędziem. Często mnie Pani z tego powodu ganiła i wciąż gani, wciąż na mnie nalegając, bym tu udzielił rady, tam interweniował, gdzie indziej zaś pomagał, wydając polecenia i przyjmując na siebie rolę przewodnika. Gdybyż Pani zechciała tego poniechać! Jako ten, który niesie pomoc, jestem już nieodwołalnie stracony, unikam dawania rad, zadając sobie zarazem sporo trudu, by możliwie jak najszybciej złamać opór mojej nieświadomości, przeciwstawiającej się Ono chorych, i pohamować jej pragnienia. Czuję się z tym szczęśliwy, dostrzegam sukcesy i sam odzyskałem zdrowie. Jeśli czegoś żałuję, to tego, że droga, którą kroczę, jest nazbyt szeroka i spokojna, tak że z czystej ciekawości i żrebięcej swawoli zbaczam z niej, zapuszczam się w rozpadliny i na trzęsawiska, narażając siebie i moich podopiecznych na trudy i szkody. Wydaje mi się, jak gdyby rzeczą w życiu najtrudniejszą było odrzucić wszelkie hamulce, wsłuchać się w głosy Ono, swojego oraz drugiego człowieka, a potem za nimi podążyć. Ale to się opłaca. Znowu stopniowo stajemy się dziećmi, a przecież Pani wie: Jeśli nie będziecie jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego. Żądę wielkości należałoby odrzucić w wieku lat dwudziestu pięciu; do tej pory potrzebuje się jej zapewne, by wzrastać, ale potem potrzebna jest już tylko w rzadkich momentach erekcji. Poddać się słabości i tej słabości, zwątlenia, bycia mięczakiem nie ukrywać ani przed sobą, ani przed innymi – właśnie to jest sednem rzeczy. My wszelako jesteśmy niczym owi lancknechci z drewnianym fallusem, o których Pani opowiadałem.

Dość na dzisiaj. Od dawna już czułem potrzebę usłyszenia Pani sądu na temat tego, jak daleko posunąłem się w stawaniu się dzieckiem, w wyzbywaniu się Ja. Ja sam mam poczucie, że znajduję się na początku tego procesu nazywanego zwykle wchodzeniem w starość, który w moich oczach przypomina stawanie się dzieckiem. Ale mogę się mylić; oto gniewne słowa pewnej chorej, która spotkała mnie po dwóch latach niewidzenia: „Nabrał pan duchowej tuszy”. Te słowa dodały mi pewności siebie. Mam nadzieję, że się Pani odezwie, o co prosi Pani wierny

Patrik Troll

przełożył Tadeusz Zatorski